



Mirosław Derecki

## DRAMATYCZNA WALKA NA SŁAWINKU TRZECH ROT RIAZAŃSKIEGO PUŁKU PIECHOTY Z FRANCISZKIEM LISEM

23 kwietnia 1907 roku był dla Królestwa Kongresowego dniem niezwykłego napięcia. Ważyły się losy Izby Państwowej. Prezes Izby Gołowin udawał się do Carskiego Sioła na audiencję. Kilka godzin wcześniej Koło Polskie postawiło na plenum Izby Państwowej wniosek o przyznanie Królestwu autonomii. Z godziny na godziną oczekiwano w „Priwisleńskim Kraju” na telegramy z Petersburga mające przynieść wiadomość o opinii cara.

Tego samego dnia Lublin stał się świadkiem wydarzenia, które kazało mieszkańcom zapomnieć o ważnych dla kraju, rozstrzygających się właśnie w stolicy imperium sprawach. Wieść o owym wydarzeniu rozniosła się zresztą wkrótce po całym Królestwie, wzbudziła szereg sprzecznych opinii i sądów, odbiła się szerokim echem w prasie. Ale nie uprzedzajmy faktów.

August Grychowski, autor książki „Lublin w życiu i twórczości pisarzy polskich”, wydanej w Lublinie w 1965 roku, pisze na stronie 150: *Głośna walka na Sławinku pod Lublinem w dniu 22 kwietnia 1907 r., gdy dwie rotę żołnierzy wzmocnione przez jedną armatę ostrzeliwały salwami w ciągu kilku godzin byłego bojowca PPS, Stanisława Lisa, ukrytego w kuźni, odbiła się echem w powieści Prusa „Dzieci” (1908). Lis występuje w niej pod nazwiskiem Zająca vel Zajączkowskiego.* Dwa zdania zaledwie jakże jednak rozpalające ciekawość i wyobraźnię czytelnika! Zarazem. Jak wiele w tych dwóch zdaniach błędów. Walka na Sławinku miało miejsce nie 22 ale 23 kwietnia 1907 roku, imię Lisa brzmiało Franciszek a nie Stanisław, co zaś do przynależności organizacyjnej, był on członkiem SDKPiL, a nie PPS.

Mimo upływu niemal siedemdziesięciu lat od czasu owej słynnej bitwy, będącej jednym z ostatnich akordów dogasającej na Lubelszczyźnie rewolucji 1905 roku możemy dzisiaj, dzięki zachowanym dokumentom, prześledzić dość dokładnie bieg wypadków i rozszerzyć dotychczasowe wiadomości o Franciszku Lisie. Tym łatwiej tego dokonać, że pod Lublinem żyje jeszcze dwoje ludzi, będących niegdyś bliskimi współpracownikami Lisa.

23 kwietnia 1907 roku około południa doniesiono lubelskiej policji, że w miejscowości Sławinek, odległej o pięć wiorst od Lublina, pokazał się dawno przez policję poszukiwany były dowódca bojówki SDKPiL, Franciszek Lis. Policmajster i zarazem naczelnik straży ziemskiej, kapitan Anatolij Adolfowicz Ulich, wysłała co koń wyskoczy dwie dorożki wypełnione funkcjonariuszami straży ziemskiej, którzy mają ująć Lisa. W jednej z nich sam zajmuje miejsce. Przodem galopuje kilku kozaków.

Lis stanowi dla policji łakomy kąsek. Ten trzydziestoletni rymarz z Kurowa, znany pod pseudonimami „Jakub” lub „Kozuch”, przez ostatnie dwa lata wślawił się szeregiem akcji na transporty pocztowe rządowych pieniędzy, na urzędy gminne, na posterunki policji. Działał głównie w okolicach Puław, noszących wówczas nazwę Nowej Aleksandrii, ale dawał o sobie znać także w powiatach lubelskim i lubartowskim. Jest wysoki, szczupły, o pociągłej twarzy, nosi charakterystyczne, cienkie, opadające ku podbródkowi wąsy, nadające jego twarzy wyraz jakby zatroskania. Ale również przebiegłości. W istocie, przywódcę bojówki złożonej z gotowych na wszystko młodych ludzi cechuje nie tylko szaleńcza odwaga, ale również chytryść i przebiegłość lisa. Dzięki tym cechom charakteru nie raz i nie dwa wywijał się z sieci zostawianych na niego przez policję. Szczególnie w ostatnich czasach, kiedy bojówka poszła w rozsypkę, a policja niemal bez przerwy deptała mu po piętach...

Jest już dobrze po dwunastej, kiedy dorożki z policjantami stoczywszy się warszawskim gościńcem w dolinę Czechówki, zatrzymują się przy mostku na rzece. Właśnie w tym momencie w drzwiach pobliskiego sklepiku żydowskiego ukazuje się nie podejrzewający niczego Lis. Policjanci i kozacy rzucają się ku niemu, ale „Kozuch” jest szybszy: przebiega błyskawicznie do sąsiedniego, oddalonego o jakieś dwadzieścia kroków od sklepu budynku i zatrząskuje za sobą ciężkie, drewniane wrota. W ten sposób znajduje się teraz w niełatwej do zdobycia „fortecy”. Skrył się bowiem w kuźni - przysadzistym, długim budynku o grubych, kamiennych ścianach, w których z rzadka tylko rozmieszczone są niewielkie okienka.

Po chwili wierzeje uchylają się, z wnętrza wychodzi kowal z rodziną. Staje się jasne, że Lis ma zamiar się bronić, i nie chce narażać mieszkańców kuźni. Zanim jednak zdążył zaryglować drzwi, wdzierają się do wnętrza kilku policjantów. Lis dobywa browninga, grzmią wystrzały. Pada zabity na miejscu strażnik Palczuk, na zewnątrz wyczołguje się ranny w nogę policjant Łazarko. Pozostali policjanci i kozacy pierzchają w popłochu. Uchyła się okienko w bocznej ścianie, osaczony wyrzuca przez nie trzyletnie dziecko, o którym rodzina kowala snadź w pośpiechu zapomniała. Następuje chwila spokoju. Policja i kozacy z oddali otaczają kuźnię, zajmują dobrze ukryte stanowiska. Potem wybucha rewolwerowa kanonada, policjanci próbują jeszcze raz wdrzeć się do kuźni. Ale strzały Lisa szybko ostudzają ich zapał. Znowu wycofują się na bezpieczną odległość i pilnują tylko, żeby Lis się nie wymknął.

O godzinie pierwszej policmajster Ulich decyduje się wezwać na pomoc wojsko.

Do położonych przy warszawskiej rogatce koszar Świętego Krzyża zostaje wyekspediowany konny posłaniec. W koszarach stacjonuje „69 Riazański pułk piechoty generała feldmarszałka księcia Aleksandra Golicyna”. Jego dowódca, podpułkownik Fiodor Grigorijewicz Siergiejenko, natychmiast wysyła w kierunku Sławinka trzy rotę wojska oraz niewielki oddział saperów, ciągnących za sobą kabel telefonu polowego. Szykuje się cała „operacja wojenna”, za chwilę rozpocznie się formalna bitwa.

Wojsko szerokim kręgiem otacza kuźnię. Część żołnierzy zajęła pozycje w rozciągającym się za Czechówką ogrodzie dworskim, z pozostałych dwóch rot jedną ustawiono na wzgórzu wzdłuż szosy, druga rozlokowała się za budynkiem, w którym mieści się ów żydowski sklepik. Na komendę rozlega się siedem salw karabinowych. Setki kul uderzają w ściany kuźni, nie wyrządzając zresztą najmniejszej szkody ani masywnym murem, ani ukrytemu za nimi „Kozuchowi”. Po każdej salwie otwiera się okienko i sypią się z niego strzały rewolwerowe. Lis nie oszczędza amunicji, ma jej pod dostatkiem, poza tym widać, że nie da się wziąć żywcem i że życie swoje postanowił sprzedać za wysoką cenę.

O godzinie drugiej po południu policmajster łączy się telefonicznie z dowódcą stacjonującą w Lublinie 18 brygady artylerii, generałem-majorem Andriejem Musseliusem i żąda przysłania... artylerii. Również w godzinę po tej rozmowie na Sławinek zostaje dostarczone działo szybkostrzelne. Ustawione na górze przy szosie, oddaje osiem strzałów szrapnelami, które wybijają osiem dziur w murze budynku, poważnie nadwerężają jeden z narożników kuźni i niszczą część gontowego poszycia dachu.

Lis milczy. Może zginął? Może leży ciężko ranny, przywalony gruzami? Rozlega się komenda: „Brać szturmem”! Pierścień żołnierzy rizańskiego pułku zacieśnia się, jest już o kilka metrów od okaleczonego budynku. I wtedy niespodziewanie otwiera się znów okno, w sołdacką masę biją ciężkie, dwunastomilimetrowe pociski. Pierścień zostaje złamany, rotę rzucają się do ucieczki, zatrzymując się dopiero przy szosie.

Teraz znowu zaczyna pracować działo, po nim dwie rotę wojska oddają na zmianę łącznie osiemnaście salw, zasypując przez wybite szrapnelami otwory wnętrze mieszkania kowala i wnętrze samej kuźni gradem kul. Po każdej salwie w którymś z otworów ukazuje się oczom oblegających nie dbający już teraz o bezpieczeństwo Franciszek Lis, wciąż jednak zawzięcie się odstrzeliwując.

Po osiemnastej salwie - nie pojawił się. Chociaż rozum nakazuje uwierzyć, że po takiej nawale ognia Lis musiał zostać zabity, żołnierze są przekonani, że owo milczenie to kolejny podstęp oblężonego. Kiedy więc następny raz pada komenda: „Brać szturmem”, tyraliera skrada się w kierunku ruin z bronią gotową do strzału, jeszcze bardziej powoli i ostrożnie niż poprzednim razem.

U wejścia wala się trup policjanta Palczoka. Poza tym wewnątrz kuźni jest puste. Palenisko rozbite do cna, kowadło przewrócone, wielki skórzany miech przy palenisku, postrzelany kulami, zwisa spod sufitu na jednym tylko przyczepie. Wąski otwór w głębi kuźni - były tutaj przedtem drzwi - wiedzie do mieszkania kowala. Tam, na podłodze obok łóżka, leży półprzytomny Lis. W rękę trzyma rewolwer. Kiedy zbliżają się do niego, raz jeszcze usiłuje poderwać się na nogi, strzelać. Ale siły zawodzą go.

Teraz dopiero policmajster Ulich stwierdza ostatecznie - bo dotąd nie miał całkowitej pewności - że człowiek, którego dostał w swoje ręce, to rzeczywiście Franciszek Lis. Podobnie jak w kuźni, wewnątrz mieszkania przedstawia obraz całkowitego zniszczenia. Ściany są wprost nafaszerowane kulami, w jednym tylko wiszącym na ścianie oleodruku naliczono 25 otworów.

Lis jest ciężko ranny. Ma przestrzeloną pachwinę, na głowie widnieje wielka rana zadana odłamkiem szrapnela. Przy bliższych oględzinach lekarz odkrywa pod spływającą z głowy krwią jeszcze jedną ranę, na szyi. Powstała od kuli rewolwerowej. Dwukrotnie ranny Lis, czując, że siły go opuszczają, próbował odebrać sobie życie.

Podjeżdża wojskowy ambulans. Sanitariusze wnoszą do wnętrza zabitego Palczuka, jęczącego z bólu Łazarzkę i nieprzytomnego Lisa. Akcja skończona. Ambulans rusza powoli do lazaretu w koszarach Świętego Krzyża. Lis przechodzi pod opiekę lekarzy, którzy mają za wszelką cenę utrzymać go przy życiu, wyleczyć. Wtedy zostanie znów przekazany policji w celu złożenia zeznań. Potem czeka go sąd, a wreszcie - kat. Co do tego policmajster nie ma najmniejszych wątpliwości.

Gdyby Lis nie był ranny, mógłby jeszcze długo trzymać w szachu wojsko i policję. Znaleziono przy nim setkę nabojów.

A przecież Franciszek Lis wymknął się z rąk policmajstrowi Ulichowi. Jeszcze tego samego dnia, o godzinie jedenastej wieczorem, zmarł w koszarowym lazarecie nie odzyskawszy przytomności.

W rodzinach ludzi związanych niegdyś z „Kozuchem”, do dziś zachowało się przekonanie, że organizacje SDKPiL z powiatu puławskiego planowały odbicie Lisa z lazaretu. Gdy okazało się, że jest zbyt dobrze strzeżony, dopomógł mu umrzeć wojskowy lekarz, Rosjanin, który był związany z partią. Zaś w Lublinie powstała inna legenda: że Lis dniem i nocą miał broń w pogotowiu, nosił bowiem na przegubach rąk obrączki zerwanych kiedyś kajdan, a do każdej z tych obrączek miał przylutowany browning.

Bitwa na Sławinku i nazwisko Lisa stały się głośne w całym Królestwie Kongresowym. Wychodzący w Lublinie dziennik „Ziemia Lubelska” wydał z powodu ujęcia Lisa dodatek nadzwyczajny, ale ogół mieszkańców „Kongresówki” dowiedział się o opisanych tutaj wypadkach głównie za pośrednictwem „Tygodnika Ilustrowanego”, który nie tylko

wydrukował obszerne sprawozdanie z przebiegu akcji, ale także zamieścił wielki - jak na owe czasy - fotoreportaż, cztery zdjęcia przedstawiające zewnętrzny i wewnętrzny widok kuźni oraz zwłoki jej obrońcy, spoczywające w wojskowej kostnicy.

Sprawa Lisa miała również swój szczególny aspekt polityczny. Oto w tymże samym numerze „Tygodnika Ilustrowanego” z 4 maja 1907 roku zajął m. in. lubelskim wydarzeniem sam Bolesław Prus w Kronice Tygodniowej. Kronika poświęcona była rozważaniom (...) co może dać, a czego nie da autonomia (Królestwa - MD) ... a także; jakie są szanse, że ją kiedyś pozyskamy?”.

Owszem, istnieją realne powody - pisał dalej Prus - które streścić można w zdaniu, że: rządy biurokratyczne rozpadają się i już nie tylko nie mogą w kraju zaprowadzić ładu, ale nawet zapewnić mieszkańcom bezpieczeństwa. Przytaczając następnie szereg przykładów bezsilności policji, przekupstwa urzędników, zachwiania powagi władzy w państwie, opisuje Prus dość dokładnie wypadki na Sławinku i kończy ów opis w taki sposób: Pytam się: jakim sposobem porządek w kraju może utrzymać policja, która dla ujęcia jednego bandyty naraża na podobne nieprzyjemności piechotę i artylerię? (...) Zdaje się, że wystarczy kilka powyższych przykładów, ażeby zilustrować prawdę, że - zarówno biurokratyczny system rządów, jak i jego wykonawców, trzeba powoli zmienić w Królestwie Polskim. I dalej: Przy obecnym systemie centralistycznym Wielkorosya po prostu marnuje swoje ludzkie zasoby, wytacza ze siebie krew, aby innym narzucać urzędników i za tę cenę kupować...ogólną niechęć...

Są więc poważne, głębokie przyczyny, które Rosyę muszą doprowadzić do uczciwej i mądrej decentralizacji. A w takim razie złożony przez Koło Polskie projekt autonomii dla Królestwa jest niby wezwaniem do reform nie tylko potrzebnych dla szczęścia ludów, ale i dla egzystencji państwa.

Stary, poczciwy pozytywista usiłował przy pomocy „bandyty” Lisa rozgrywać z samodzierzą Wszechrosji dialog na temat swobód Polaków. Nazywał Lisa „bandytą”, bo tak go nazywała cała oficjalna prasa; znał sprawę rymarza z Kurowa z gazeta nie z autopsji. Te zaś pisma, które znały przeszłość Lisa, wstrzymywały się od pisania na jego temat. Tak na przykład wychodzący równoległe z „Ziemią Lubelską” miejscowy „Kurier”, pismo postępowe, radykalizujące, nie zamieściło najmniejszej wzmianki o walce na Sławinku, podczas gdy „Ziemia” poza dodatkiem nadzwyczajnym, w następnych dniach wydrukowała jeszcze artykuł, pełen najgorszych inwektyw pod adresem Lisa.

Barwna postać Franciszka Lisa znalazła oddźwięk w literaturze. Prus uwiecznił go pod nazwiskiem Zająca w powieści „Dzieci”, a w kilkadziesiąt lat później Ewa Szelburg-Zarembina w powieściach: „Ludzie z wosku” i „Miasteczko Aniołów”. Lis objawia się tam pod nazwiskiem rymarskiego czeladnika Staśka Jelenia, bojowca PPS, który pod koniec

rewolucji staje się bandytą: Kto zabił jego na duszy, jeszcze zanim on w lasy karpińskie poszedł? Kto go z bojowca bandytą zrobił? Moskale?! - krzyczała teraz Joanna, straszna, purpurowosina, - Swoi! Polacy! Katolicy! Ów Stasiak Jeleń - pisze w innym miejscu autorka „Miasteczka Aniołów” - musiał czuć się związany osobistymi węzłami przyjaźni lub choćby ich namiastką w postaci ścisłej, stałej współzależności z ludźmi mianującymi się partią, aby nie nadwerżyła się jego karność, (...) Znany był mu aż nadto jego wpływ wielki na ludzi nawet starszych, bardziej wyrobionych, bardziej odpowiedzialnych. Znana mu była przewaga człowieka zdecydowanego na wszystko nad człowiekiem uzbrojonym, ale mniej pewnym siebie, bo niepewnym swego.

A po zorganizowaniu nielicznej, lecz własnej „partii” znana stała mu się moc czarodziejska, nieodparty urok zdobywczych pieniędzy - I sława. Sława tego, któremu służy skrzydlate szczęście.

Czy w trakcie tworzenia postaci Staśka Jelenia sama tylko pisarska fantazja podsunęła autorce pomysł rozbudowania jego życiorysu o ów niechlubny finał poprzedniej, rewolucyjnej działalności, czy też opierała się Szelburg-Zarembina na jakichś znanych jej bliżej faktach z życiowych losów pierwowzoru swego bohatera - Franciszka Lisa?

Z grona ludzi, którzy znali Lisa osobiście, kontaktowali się z nim, współpracowali z tym niezwykłym człowiekiem, zostało na świecie już tylko dwoje: mieszkająca w Kurowie, osiemdziesięcioletnia Wiktoria Gembal i dobiegający dziewięćdziesiątki Jan Szczypa z Puław. Ona była czynną działaczką komórki SDKPiL w Końskowoli, on „chodził z Lisem jako członek dowodzonej przez „Kozucha” esdekapeielowskiej bojówki. Ich wspomnienia, połączone przez reportera w jeden ciąg myślowy, ukazują postać Franciszka Lisa w czasach, gdy rewolucja płonęła jeszcze na Lubelszczyźnie pełnym ogniem.

Niedługo przed japońską wojną zmarł w Końskowoli niestary jeszcze miejscowy murarz i szewc w jednej osobie, a zarazem kościelny śpiewak zawołany, Sikora. Pozostawił po sobie niewielki dom przy ulicy Poprzecznej, a w nim żonę i dwie córki. Starsza, Wiktoria, miała wówczas piętnaście lat. Przy domu był kawałek pola, jednak zbyt mały aby mogły się z niego wyżywić trzy kobiety. Wiktoria, w tajemnicy przed matką, stanęła przy warsztacie tkackim w jednej z kilku istniejących wówczas w Końskowoli fabryk sukienniczych. Zarabiała jednego rubla tygodniowo za dwunastogodzinny dzień pracy. Nic dziwnego, że wkrótce dziewczyna znalazła się w szeregach partii walczącej o obalenie ustroju, w którym robotnik sprowadzony był do roli roboczego wołu, stała się członkiem bardzo w Końskowoli prężnej i licznej komórki SDKPiL.

Kiedy wybuchła rewolucja 1905 roku, Końskowola wzięła w niej czynny udział. Czas był jednak niebezpieczny, przez osadę często przebiegały kozackie patrole. Dosadnie obrazuje ówczesną atmosferę korespondencja, zamieszczona w „Czerwonym Sztandarze” z

18 stycznia 1906 r. Puławy, d. 15 b. m. U nas areszty odbywają się jak nigdy. Naczelnik powiatu zmobilizował sobie rotę żołnierzy i sotnię kozaków i z nimi obławę robi na wioski i miasteczka. Przy aresztowaniu strasznie biją, np. w Końskiej Woli rano o godzinie piątej rota wojska otoczyła całe miasto i wówczas zaczął się areszt. Aresztowanych wywlekano z łóżek i strasznie bito, po tej kaźni krępowano ich i ostawiano do Puław. W Puławach wsadzano ich do koszar tulskiego pułku, do więzienia nie wsadzili ich, bojąc się, żeby ich nie odbito. Takie areszty do tej pory odbywały się w Końskiej Woli, Kurowie, Markuszowie, Miechowie, Rykach i Żelechowie.

Zebrania partyjne, którym często przewodniczył miejscowy działacz Jan Świdorski, odbywały się zazwyczaj w rodzinnym domu Wiktorii Sikory przy ulicy Poprzecznej. Tutaj, w schowku pod podłogą stojącej na podwórzu szopy, przechowywano ulotki, egzemplarze „Czerwonego Sztandaru” i broń. Miewali tu również spotkania bojowcy SDKPiL ze słynnym w okolicy Franciszkiem Lisem no czele. Lis był postacią tyleż barwną co tajemniczą. Wiedzano o nim tyle, że dawniej pracował jako rymarz w majątku w Kurowie, że odznacza się niezwykłą odwagą i przebiegłością i że podobno podlegają mu wszyscy bojowcy SDKPiL w okolicy. Pojawiał się zwykle nie zapowiedziany i pod różnymi postaciami. Raz jako zamożny chłop, w sukmanie i z batem w dłoni, kiedy indziej w jarmulce na głowie i w chałacie na grzbiecie, innym razem jako „student” w kusym spencerku, to znów w księżej sutannie. Zachodził do mieszkania niby przypadkiem, pytając o drogę lub proponując sprzedaż owsa albo nafty. Wiktorcia miała z nim umówione znaki, po których orientował się, czy może bezpiecznie zrzucić maskę, czy ma się wycofać, bo w domu jest ktoś, komu nie można ufać.

Kierowane przez niego akcje przeprowadzane były zawsze w sposób błyskawiczny i zwykle osiągały zamierzony cel. Działał ze swoją bojówką po całej prawie guberni, szczególnie, jednak upodobał sobie powiaty puławski, lubartowski i lubelski. W skład bojówki wchodził: Jan Szczypa, Józef Wolski, Michał Pawłat i Ignacy Światała z Włostowic, Władysław Chmurzyński z Kurowa oraz Błady z Lublina. Szczególnie głośne stały się ich akcje na urząd gminny w Żyrzynie, na gminę Wielkie i osadę Niemce w powiecie lubartowskim, gdzie zdobyto książeczki paszportowe, oraz po kilkaset rubli, które przekazywane były na potrzeby organizacji. Wreszcie - słynna, opisana w prasie konspiracyjnej akcja na ambulans pocztowy, wiozący znaczną ilość rubli z Puław do Kazimierza. Zasadzka została urządzona między Parchatką a Bochoćnicą, w miejscu, gdzie do szosy podchodził zwarty, grabinowy zagajnik. W czasie gęstej wymiany strzałów pomiędzy bojowcami a eskortującymi transport rosyjskimi strażnikami padł... jeden koń. Strażnicy salwowali się ucieczką, zostawiając na drodze kasę z 6 tysiącami rubli.

Jak zwykle, tak i w tym starciu broń bojowców stanowiły rewolwery „systemu Browninga”, piekielne maszyny o kalibrze 12 mm. Jak zwykle również, zdobyte pieniądze przekazano do Lublina do stolarni Aleksandra Damskiego ps. „Zielony”.

Nikt nie wiedział gdzie Lis mieszka, miał prawdopodobnie kilka różnych melin. Najczęściej przed planowaną akcją pojawiał się na wsi Włostowice u Michała Krzezińskiego i stamtąd rozsyłał wici do rozsianych w okolicy członków bojówki. Wyznaczał też zbiórki u Wiktorii Sikory w Końskowoli lub we wsi Barłogi koło Kurowa, w domu Jana Duraka.

Wielbiony przez podwładnych, otoczony narastającą wokół niego legendą, musiał być „Kozuch” równocześnie osobnikiem chimerycznym i niełatwym do prowadzenia przez zwierzchność partyjną, roznosił go temperament. Równocześnie jego życie rodzinne było zrujnowane. Żona, córka rządcy w majątku Abromowice pod Lublinem wraz z kilkuletnim synem Władkiem bez przerwy musiała zmieniać miejsce zamieszkania w obawie przed aresztowaniem. To samo, oczywiście, tylko w znacznie większej mierze, dotyczyło samego Lisa. Małżonkowie widywali się rzadko. Kiedy rewolucja zaczęła wygasać, a zaborcy wzmożli falę terroru, kiedy zaczęto Lisa coraz bardziej osaczać, jego spotkania z rodziną ustały niemal zupełnie. Partia schodziła do podziemia, rwały się kontakty, rosło donosicielstwo, zaczynało brakować pieniędzy na życie. A stanąć na powrót do pracy przy rymarskim warsztacie Lis nie mógł, był wszak człowiekiem nazbyt znanym. Jedną z nielicznych wizyt u żony, która mieszkała wówczas w Kurowie, w domu Władysława Diupero przy ulicy Kowalskiej, omal nie zakończyła się ujęciem. Niespodziewanie wpadła do osady sotnia kozaków i obstawiała wszystkie drogi wylotowe. Lisa uratował parobek księdza, używając mu swego porwanego kozucha, wciskając do ręki bat i oddając „pod opiekę” stado księżowskiego bydła, które „Kozuch” przepędził pod nosem kozaków daleko na łąki i... tyle go widziano.

Poszła w rozsypkę także bojówka, owa grupa młodych, zdecydowanych na wszystko ludzi, wśród których Lis czuł się najlepiej i bez których nie wyobrażał już sobie życia. Jana Szczypę wzięto w żołdacy i popędzono aż pod Kaukaz, w wojsku znalazł się również Światała. Chmurzyński, skłuty kozackimi pikami, przyczał się na strychu pod stertą skóry w obawie przed aresztowaniem, wkrótce potem przedarł się przez granicę do Galicji i tam już, pozostał na stałe. Krzezińskiemu udało się wyjechać do Ameryki.

Na początku 1907 roku nie było żadnych wiadomości o Lisie. Przez kilka miesięcy nie dawał znaku życia. Co w tym czasie robił, w jakich okolicach się obracał - nie wiadomo. Nagle, 23 kwietnia 1907 roku, przypomniał o sobie strzałami na Sławinku.

Co się zaś tyczy kuźni, to po załatwieniu dziur po pociskach przetrwała w doskonałym stanie następne pół wieku, dopóki jej ostatecznie z dużym trudem, cegła po cegle, nie rozebrano.



Pierwodruk: „Kamena”, 1971, nr 11, s. 6-7.